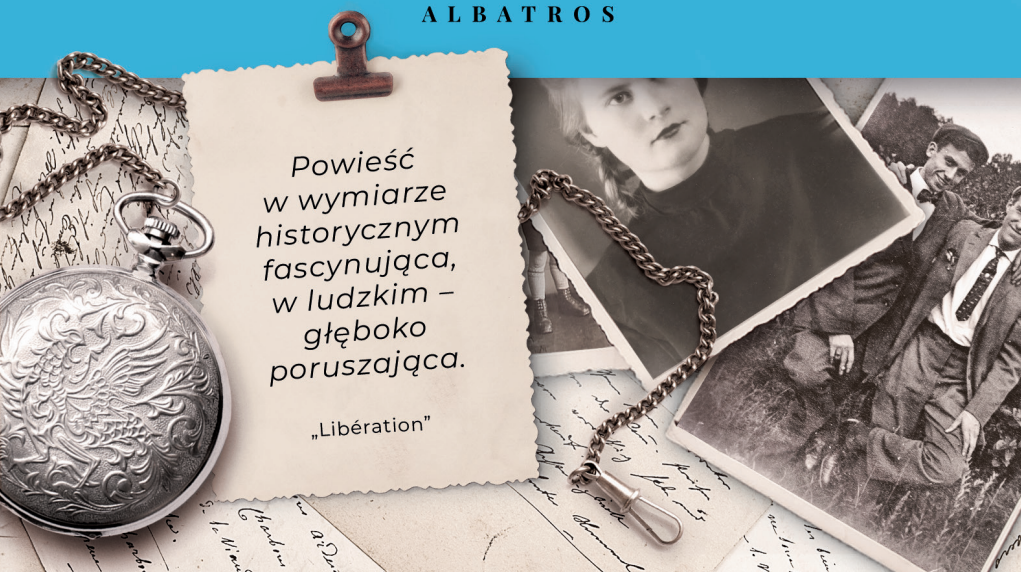




BIURO SKRADZIONYCH WSPOMNIENI GAËLLE NOHANT

ALBATROS



Powieść
w wymiarze
historycznym
fascynująca,
w ludzkim –
głęboko
poruszająca.

„Libération”

Tytuł oryginału:
LE BUREAU D'ÉCLAIRCISSEMENT DES DESTINS

Copyright © Gaëlle Nohant 2023
International Rights Management: Susanna Lea Associates
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2025

Polish translation copyright © Joanna Prądkzyńska 2025

Redakcja: Marzena Wasilewska

Projekt graficzny okładki: Agnieszka Drabek / Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Ilustracje na okładce: underworld/Shutterstock (*pierrot*); LiliGraphie//Shutterstock (*listy*); Pixel-Shot/Shutterstock (*numer, gwiazda*); Olha Solodenko/Shutterstock (*medalion*); Elzbieta Sekowska/Shutterstock (*fotografia kobiety z dzieckiem*); BartTa/Shutterstock (*kartka*); KUCO/Shutterstock (*fotografia dziewczynki i chłopca*); Kittyfly/Shutterstock (*fotografia ślubna*); Marynka Mandarinka/Shutterstock (*fotografia młodej kobiety*); fotoak/Shutterstock (*fotografia kobiety i mężczyzny*); Karpenkov Denis/Shutterstock (*serwetka*); robertsre/Shutterstock (*chusteczki*);

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
e-mail: kontakt@wydawnictwoalbatros.com
wydawnictwoalbatros.com



Codziennie rano Irène przejeżdża przez las. Gdy zagłębia się w gęstwinę drzew i mrok, uderza ją wciąż żywy zapach: cmentarna woń wieczności, którą las się z nią dzieli. W żółtym blasku reflektorów samochód powoli wyslizguje się z ciemności ku światłu i wjeżdża do miasteczka.

Bad Arolsen się budzi. Świeżo odmalowane okiennice otwierają się bez jednego skrzypnięcia, w poranną mgłę strzela z kominów szary dym. Tu nic nie umknie uwadze sąsiadów. Irène widzi, jak rzeźnik podciąga metalową żaluzję. Gdy przyjacielsko macha do niego ręką, mężczyzna marszczy brwi, patrząc na nią nieufnie. Irène mieszka tu już ponad dwadzieścia pięć lat, ale dla mieszkańców miasteczka jest wciąż cudzoziemką. Tą Francuzką, która na pewno źle o nich myśli, osądza ich i z innymi, takimi jak ona, wyciąga z przeszłości to, o czym należałoby zapomnieć.

* * *

Irène ostro hamuje. Rowerzysta. Przepuszcza go i skręca w długą zieloną aleję z drzewami po obu stronach. W głębi parku stoją nowoczesne budynki, a w nich dziesiątki kilometrów regałów archiwów i szafek z aktami, wzdłuż których można spacerować całymi godzinami, nie słysząc jęków ukrytych w ciszy. Trzeba

mieć doskonałe ucho, cierpliwość. Wiedzieć, czego się szuka, i być gotowym na znalezienie czegoś zupełnie innego.

* * *

Irène zawsze czuje lekkie wzruszenie na widok dyskretnej tabliczki. Gdy dawno temu weszła po raz pierwszy po tych schodach, napis *International Tracing Service* nie mówił jej zupełnie nic.

Była zwykłą młodą Francuzką, która wyjechała z kraju w poszukiwaniu niezależności, zakochała się, została za granicą, podążyła za narzeczonym do porośniętego lasami regionu, gdzie wykazywała mnóstwo dobrej woli, by ją zaakceptowano, co do czego zresztą nigdy nie doszło. Teraz jednak czuła się tu prawie jak u siebie. Nawet gdy miłość uciekła, a ona przeniosła się pod miasteczko z dzieckiem, które krążyło między dwoma domami, nie przyszło jej do głowy, żeby wyjechać. Za każdym razem, gdy wchodzi po tych schodach, wie, że jest na swoim miejscu, obciążona misją, która ją przerasta i usprawiedliwia zarazem.

* * *

Już pierwszego dnia pracy w ośrodku uderzył ją dziwny zapach, coś jakby woń pleśni, starego papieru, tuszu do kserokopiarki, zimnej kawy. Zanim sobie to uświadomiła, wdychała z powietrzem tajemnicę, którą skrywały te mury, niezliczone szuflady i teczki, szybko zamykane, kiedy przechodziła obok.

Dziś, gdy przecina wielki hol, kierując się do schodów, towarzyszy jej koncert powitań – „Cześć, Irène!” – i uśmiechy. Należy już do tego miejsca. To ul, do którego co rano spieszą roje pszczół z całego świata. Wielobarwna mozaika imion: Michaela, Henning, Margit, Arié, Kathleen, Kazimierz, Dorota, Constanze, Igor, Renzo, François, Diane, Gunther, Elzéar, Christian... Każdy domowe problemy zostawia w szatni. Należy wyrzucić z głowy wszystko, co może przeszkodzić w pracy.

Irène odkłada swoje rzeczy na biurko i otwiera kalendarz – jest dwudziesty siódmy października 2016 roku. Podnosi rolety. Promień szarego światła pada na zdjęcie syna w srebrnej ramce. To jedyna osobista nuta w pokoju zawalonym stertami książek i akt. Do tego nieporządku tylko ona ma klucz. Na zdjęciu Hanno się śmieje. Zrobili je cztery lata temu, w jego szesnaste urodziny. Drażniła się z synem, trzymając palec na spuście migawki. Potem poszli na kolację do eleganckiej restauracji w centrum miasta. Pozwoliła chłopcu wypić trochę musującego wina.

– Tylko nic nie mów tacie – zastrzegła.

– Ale on już mi pozwala na piwo! – Hanno się uśmiechnął. Był śliczny z tymi swoimi kręconymi włosami i dumnym spojrzeniem ciemnych oczu. Wyglądał, jakby powoli przenosił się do swojego drugiego życia, życia dojrzałego mężczyzny.

Co mi zostanie, kiedy on się wyprowadzi? – przebiegło Irène przez myśl i zaraz się zawstydziała. Przecież kiedyś sama się wyprowadziła; nie dała się nikomu zatrzymać. Nie zamierza być przeszkodą dla syna, który studiuje w Getyndze i przyjeżdża do niej w weekendy, chyba że jest u ojca lub przyjaciół. Przyzwyczaiła się do tego. Samotność to prywatna sprawa; Hanno nigdy się nie dowie, że to dla niej problem.

Puka do pokoju Charlotte Rousseau.

– Dzień dobry, Irène, czekałam na panią – słyszy miły głos.

– Napije się pani kawy?

– Chętnie.

– Ledwo człowiek przywyknie do tej szarugi i wilgoci, a zaraz spadnie śnieg. – Dyrektorka Centrum krzywi się, wsuwając kapsułkę do ekspresu. – Co za cholerny klimat!

Pochodzi z Tuluzy, więc trudno jej wytrzymać w tej części Hesji. W jej ciepłym głosie słysząc melodię rodzimego południa,

najbardziej wtedy, gdy jest wzruszona. To muzyka ziemi spalonej słońcem i chłostanej morskim wiatrem. Charlotte chciałaby częściej tam wracać.

– Będzie pani musiała wziąć się w garść, jakaś pani błada – mówi, kiedy piją espresso. – Mam dla pani zadanie specjalne.

Irène nie potrafi powstrzymać uśmiechu. Odkąd Charlotte Rousseau kieruje International Tracing Service, to zdanie wszyscy słyszą od niej kilka razy dziennie. Drobną i energiczną, nadużywając cierpliwości personelu, próbuje nadrobić to, czego nie zrobili jej poprzednicy. Niektórzy z jej podwładnych opracowali specjalną strategię, żeby tylko nie wpaść na nią na korytarzu.

Z Irène jest przeciwnie; energia dyrektorki udziela jej się i zachęca ją do pracy. Jakby otwierała bramę fascynującego starego mauzoleum. A poza tym ją i dyrektorkę łączy tęsknota za Francją.

– O co konkretnie chodzi? – pyta Irène.

Charlotte obserwuje ją, pijąc kawę.

– Wczoraj wieczorem myślałam o tych rzeczach z obozów – mówi. – Nie należą do nas. Przechowujemy je jak relikwie z piekła. Chyba pora, żeby wróciły do właścicieli.

– Do właścicieli? Przecież oni nie żyją... przynajmniej większość z nich.

– Może zostały dzieci, wnuki. Niech pani pomyśli, jak wielkie znaczenie miałyby dziś dla nich, dla ich wspomnień, gdyby nagle otrzymali przedmioty, przybyte z tak daleka... To byłoby dla nich czymś w rodzaju spadku. Może pani ze swoim zespołem... Rzecz jasna, postaram się zorganizować wszelką możliwą pomoc.

Irène słyszy własne „tak”.

Wie, że spokojne życie, które sobie ułożyła, może się teraz rozpaść. No bo czy jest gotowa? Nie wiadomo. Czuje ekscytację podszytą lękiem.

Zgadza się.

I tak w ten szary jesienny poranek wszystko się zaczyna.

EVA

W głębi korytarza mieści się biuro, na którego widok ściska jej się serce. To wciąż biuro Ewy, chociaż odkąd ta odeszła, zajmowało je już wiele osób. Przez długi czas Irène wpadała tu, żeby dodać sobie odwagi. Potrzebowała sprzymierzeńca. Nie spodziewała się, że Eva da jej dużo więcej. To dzięki niej stała się osobą, którą jest teraz.

* * *

– W ogóle nie wiesz, czym się tu zajmujemy, prawda? – zapytała ją Eva spokojnym głosem, uśmiechając się lekko.

Irène często wraca myślami do tamtego wrześnieowego dnia w 1990 roku. Była tuż po ślubie, miała dwadzieścia trzy lata i naiwność młodości, gdy człowiek uważa, że sam wdzięk wystarczy, by podbić świat. Wydawało jej się, że dokonała wielu godnych podziwu trudnych rzeczy, bo opuściła ojczyznę i wyszła za cudzoziemca. Dziś odbiera to inaczej; myśli o sobie z czułością, ale i ze złością. Przecież nic wtedy nie wiedziała, trudy życia miała dopiero przed sobą.

Eva Volmann przeprowadziła z nią coś w rodzaju rozmowy kwalifikacyjnej. Od razu zaczęła mówić jej na ty; zachowywała się jak dostoyny mędrzec wobec ucznia. Mimo szczupłej sylwetki

sprawiła wrażenie silnej. Trudno było określić, ile miała lat, albo wyobrazić sobie jej życie prywatne. W pooranej głębokimi zmarszczkami twarzy błyszczał z onieśmiałą siłą płomień szarzielonych oczu. Czarne włosy poprządkane srebrnymi pasmami miała upięte w mały kok. Polski akcent nadawał melodyjność jej lekko ochrypłemu głosowi.

Irène z zakłopotaniem przyznała, że przyszła tu pod wpływem impulsu, bo przeczytała ogłoszenie w miejscowej gazecie. Międzynarodowa Służba Poszukiwań potrzebowała dla jakiejś misji badawczej osoby mówiącej i piszącej biegle po francusku. Irène nie miała pojęcia, na czym ta misja ma polegać. Przyciągnęła ją słowo *międzynarodowa*.

– Do roku tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego MSP nosiła nazwę Centralne Biuro Poszukiwawcze – poinformowała ją Eva.

Instytucja ta powstała dzięki dalekowzroczności aliantów. Zanim jeszcze zakończyła się druga wojna światowa, zrozumieli, że ceną zwycięstwa będą nie tylko miliony poległych i zamordowanych, ale również miliony wysiedlonych i zaginionych. Po zakończeniu działań wojennych trzeba będzie odnaleźć te osoby i pomóc im wrócić do domów. I dowiedzieć się, jaki los spotkał tych, którzy nie zostali odnalezieni.

– Dla człowieka, który utracił najbliższą osobę, odpowiedź, co się z nią stało, jest na wagę złota – powiedziała Eva. – Jeśli się tego nie dowie, w jego sercu na zawsze zostanie otwarta rana, niezamknięty grób. Rozumiesz?

Słuchając jej, Irène miała wrażenie, że cofa się do tamtych ponurych czasów, gdy chmary ludzi o zagubionym spojrzeniu błądziły między ruinami.

Dziwne, ale obawiała się reakcji męża. Nigdy nie rozmawiali o czasach nazizmu, dlatego więc czuła, że ta praca nie będzie mu się podobała? Może przez to wzruszenie ramion, którym kiedyś

zareagował; nie pamiętała już, o co dokładnie chodziło. O jakiś reportaż, relację z uroczystości poświęconej pamięci ofiar? Wzruszył ramionami i westchnął. Irène szybko wyłączyła telewizor.

– Kiedy tu przyjechałam – ciągnęła Eva – to miasto należało do SS.

– Jak chyba wszystkie miasta wtedy – dorzuciła Irène.

– Nie. To miasto w czasie wojny żyło przede wszystkim dzięki SS. Na ulicach i w okolicy częściej widziało się czarne mundury niż cywili. Wyobrażasz sobie?

Irène nie rozumiała, więc Eva zaczęła wyjaśniać.

Przed wojną Bad Arolsen było miastem twierdzą, nad którym czuwał imponujący barokowy zamek z wielkimi oficynami, stojący pośród tysiącletnich drzew, wyprężonych jak wartownicy. Miasto leżało na terenie Księstwa Waldecku i Pyrmontu, którego dziedziczny władca, książę Jozjasz, zapalał wielką sympatią do Hitlera. Od początku był fanatykiem. Hitlerowskiemu kultowi czystej krwi oddał odrobinę swojej germańskiej chwały, ozdabiając rodowy herb runami SS. W zamian umożliwiono mu błyskawiczną karierę, został generałem dywizji SS. Bad Arolsen odzyskało swój dawny status miasta garnizonowego. Książę miał wielkie plany: na zamku ulokował elitarną szkołę oficerów SS. Ogromny kompleks mieścił Instytut Zarządzania, koszary dla II Pułku Dywizji Germania Waffen-SS oraz biura intendentury. Nic nie było dla nich za piękne: całe miasto z księciem na czele upajało się swoją wyjątkową pozycją. Odurzano się wojowniczymi ceremoniami, weselami organizowanymi z wielką pompą. Pierwsze w Niemczech miasto SS w samym sercu czerwono-czarnego kraju. Książę Jozjasz ugiął się pod natłokiem obowiązków. Najbardziej cenił sobie wymagającą funkcję inspektora obozu w Buchenwaldzie, która przysługiwała mu z urzędu jako generałowi SS. Książę zaliczał się do piętnastki najwyższych rangą oficerów SS w Niemczech. Heinrich Himmler był przyjacielem

księcia i ojcem chrzestnym jego synów.

– Większość mieszkańców Bad Arolsen poszła za księciem – powiedziała Eva. – Zawsze okazywali lojalność wobec jego władzy.

Po przegranej wojnie to było jak tatuaż ukryty pod blizną porażki, mimo że upadły książę został osądzony w Norymberdze i uwięziony w Landsbergu. Jego poddani chowali się wtedy, gdzie się dało, zżerani przez upokorzenie, przerażeni myślą, co szykują dla nich zwycięzcy.

Księcia wygnano z zamku. W pustych komnatach rozbrzmiewało echo kroków amerykańskich żołnierzy. Cudzoziemcy, opierając się o marmurowe posągi, palili papierosy, zakłócali ciszę, nosili mnóstwo jakichś pudeł. Bez szacunku dla tradycji, dla średniowiecznych herbów.

– Początkowo Amerykanie umieścili Centralne Biuro Poszukiwawcze w oficynach zamkowych – dodała Eva.

– To miała być prowokacja? – spytała Irène.

– Nawet nie. – Eva się uśmiechnęła. – Zrobili to raczej dla wygody. Miasto uniknęło bombardowań. Wszystkie budynki stały puste i było w nich dość miejsca, żeby pomieścić dokumenty, których tony zaczęły napływać w ciężarówkach z całych Niemiec. Bad Arolsen leżało w punkcie, gdzie krzyżowały się drogi ze wszystkich czterech stref okupacyjnych. Jednak... co za ironia! Utworzyć tutaj największy ośrodek dokumentujący losy ofiar nazistowskich prześladowań!

– Mieszkańcom musiało to być bardzo nie w smak.

– Nie w smak? Mało powiedziane. Ale w końcu się przyzwyczaili. Ten ośrodek jest jednym z największych pracodawców w mieście.

Mimo to na początku mieszkańcy uważali Centralne Biuro Poszukiwawcze, które później przemianowano na Międzynarodową Służbę Poszukiwań, za prawdziwe zagrożenie.

– Nienawidzili nas i umierali ze strachu! – Eva znów się uśmiechnęła.

Co ona musiała przeżyć, że ma tak zniszczone zęby? – przemknęło przez głowę Irène.

– I dobrze, że się bali. Ale nas interesują wyłącznie ofiary. I ci, którzy za nimi tęsknią – zakończyła Eva.

* * *

Z tego pierwszego spotkania z Evą Irène zapamiętała zawroty głowy. Takie jak po dziecięcej zabawie, gdy trzeba się kręcić w kółko z zawiązanymi oczami. Miasto, którego książe był naziścią, gdzie wciąż – a był rok 1990 – poszukiwano zaginionych z drugiej wojny światowej. Jak to możliwe? Eva pokazała jej sterty nowej poczty piętrzące się w sekretariacie. Co roku przychodziły do nich dziesiątki tysięcy listów z błaganiami we wszystkich językach i relacjami z długich bezowocnych poszukiwań. Niektórzy przekopali ziemię, na próżno. Inni pisali: *Nic nie wiem. Przede mną pustka. Albo: Moja matka zabrała swoją tajemnicę do grobu. Nie zostawiajcie mnie samego z tą ciszą!*

Każdy list czekał na odpowiedź, każdy był pełen nadziei. Słowa jakby wstrzymywały oddech.

– Jeśli przyjmiesz tę pracę, będziesz się zajmowała prośbami obywateli francuskich – oznajmiła Eva.

Pod Irène ugięły się nogi. Miała ochotę uciec gdzie pieprz rośnie.

– Nie wiem, czy dam radę – szepnęła.

Eva spojrzała na nią przenikliwie.

– Jeśli nie dasz rady, odejdiesz – powiedziała. – Nie będziesz pierwsza ani ostatnia. Za wcześniej, żeby to przewidzieć... Chodź!

Poprowadziła ją przez labirynt korytarzy i schodów; mijały zapracowanych urzędników, witających je z roztargnieniem.

Niektórzy, zaciekawieni, oglądali się za Irène.

– Mamy prawie dwustu pięćdziesięciu pełnoetatowych pracowników – odezwała się cicho Eva. – Ci, którzy zaczynali ze mną, w większości już odeszli. Nowi są zupełnie inni. – W jej głosie zabrzmiała nuta krytyki, która nie umknęła uwagi Irène.

* * *

Gdy szły zimnymi korytarzami, Irène czuła się onieśmielona. Ogromem tego miejsca, stertami pudeł z poślizniętymi papierami, sięgającymi sufitu, ścianami zabudowanymi półkami, teczkami z aktami, szufladami z tajemniczymi napisami, ciągnącymi się w nieskończoność korytarzami. Papierowy labirynt wokół szeleścił.

W końcu znalazły się w holu, w którym stało kilka automatów do kawy i ławki pokryte zniszczonym skajem. Dookoła były drzwi, a na każdych tabliczka: *Dokumenty z obozów koncentracyjnych, Dokumenty z czasów wojny, Dokumenty powojenne, Oddział poszukiwania dzieci, Oddział dokumentów historycznych...*

Eva wyjaśniła, że zasoby ośrodka pochodzą z różnych źródeł. Przede wszystkim z archiwów obozowych, przynajmniej tych, które udało się uratować przed masowym niszczeniem śladów dokonany z rozkazu Himmlera. A także ze skromnych pozostałości nazistowskiej obsesji na punkcie biurokracji; były to spisy, indywidualne karty rejestracyjne, rejestry ukryte przez deportowanych albo te, których mordercy nie zdążyli zniszczyć. Kierownictwo obozów w Buchenwaldzie, Mauthausen i Dachau zostało zaskoczone niespodziewanie szybkim nadejściem wojsk alianckich.

W ostatnich miesiącach wojny alianci, ścigając się z czasem, przeszukiwali niemieckie urzędy, szpitale, więzienia, posterunki policji, przytułki i cmentarze. Z czasem niemieckie przedsiębiorstwa zgodziły się przekazać im dane dotyczące robotników przymusowych. Były też kwestionariusze osób wysiedlonych,

korespondencja urzędników nazistowskich, listy z chorymi psychicznie poddanymi eutanazji w zamku Hartheim, liczba wszy na głowach więźniów Buchenwaldu... Od 1947 roku zbiory dokumentów w ośrodku rosły i rosły jak rzeka zasilana tysiącem dopływów. Pierwsi pracownicy polowali na archiwa po całej Europie; czasem dokumenty docierały do nich najdziwniejszymi drogami. Po upadku żelaznej kurtyny na powierzchnię wypłynęły kolejne sekrety. Zgromadzone akta, gdyby ułożyć je w linii prostej, zajęłyby dziesiątki kilometrów.

Irène poczuła się przytłoczona ilością dokumentów.

– Nie przejmuj się – usłyszała ochryply głos Ewy. – Przywykniesz. Główny podział na sekcje widzisz w napisach na tych drzwiach. Najważniejsze to pamiętać, że wszystko zostało tu zebrane w jednym celu: odnalezienia zaginionych. I właśnie dlatego nasze archiwa są wyjątkowe. A miejscem centralnym jest katalog główny. Chodź, pokażę ci.

Katalog zawierał ponad siedemnaście milionów fiszek osobowych.

– Człowieka, który ułożył te fiszki w niezwykle przemysłowy sposób, nazywaliśmy Mózgiem – powiedziała Eva. – Był to węgierski pilot, którego samolot zestrzelono nad Bad Arolsen. Postanowił tu zostać. Zarządzał głównym katalogiem przez ponad trzydzieści lat i w ten sposób powstał fundament archiwów. Katalog jest ułożony według dwóch kluczy: alfabetycznie i fonetycznie. To był genialny pomysł. Więźniowie obozów byli spisywani przez esesmanów albo przez innych więźniów, którzy notowali nazwiska, jak chcieli. Czasem, żeby było szybciej, stosowali niemiecką pisownię. Wielu osób nie odnaleziono, bo ich nazwiska zostały niestarannie zapisane. Spójrz, akta tego człowieka na długo utknęły w głębi kartoteki, tylko dlatego, że pisarz obozowy w Auschwitz połączył imię z nazwiskiem: *Leibakselrad*. *Leib Akselrad*.

Mózg zorganizował ekipę poliglotów, wśród których kilku władało nawet jedenastoma językami. Przez wiele miesięcy niestrudzenie pracowali nad utworzeniem tej ogromnej listy nazwisk, biorąc pod uwagę wszystkie możliwe warianty we wszystkich językach, błędy w wymowie, zdrobnienia. Niektóre nazwiska mogły występować nawet w stu pięćdziesięciu wersjach.

* * *

Irène zaczęła przyglądać się półkom. Czuła się głęboko poruszona. Chyba miała ochotę się tym zająć! Szukać kogoś i odnajdywać. Zrozumiała to, odczuwając dziwne drżenie w koniuszkach palców i nagłą chęć zanurzenia się w tym oceanie nazwisk, z których każde mogło być zagadką do rozwiązania.

– Wszystkie nasze działania zaczynają się tutaj. – Eva się uśmiechnęła. – Ale żeby działać skutecznie, najpierw trzeba się zapoznać z terytorium.

– Z terytorium? – zdziwiła się Irène.

Eva poprowadziła ją do ogromnej mapy, zajmującej całą ścianę. Setki czerwonych kropek. Obozy. Przy każdym podano oprócz nazwy okres działania i liczbę ofiar. Ta mapa – gigantyczna pajęczyna wielkości nazistowskiej Europy – była ich narzędziem pracy.

– Tu decydowały się losy kilkudziesięciu milionów osób – powiedziała Eva. – Tych, które zbiegły, które złapano, które się ukrywały, które się opierały, które zamordowano lub uratowano w ostatniej chwili. A potem okres powojenny. Miliony przesiedlonych. Nowe granice, traktaty okupacyjne, ograniczenia migracyjne, szachownica zimnej wojny. Będziesz musiała się tego wszystkiego nauczyć, zostać prawdziwą specjalistką. Im lepiej to opanujesz, tym szybciej będziesz kojarzyć fakty. Czas, który zyskasz, to życie tych, którzy czekają na odpowiedź. Ich życie jest wątlą nitką.

Obchód po ośrodku dobiegł końca. Większość pracowników poszła już do domu, ale one dwie nie miały jeszcze ochoty się rozstawać. Za drzwiami i w parku otoczyło je łagodne ciepło późnego popołudnia. Spacerowały wśród drzew. Eva poczęstowała Irène papierosem.

– Jeśli od razu się nie zniechęcisz, czeka cię decydująca rozmowa z dyrektorem – poinformowała ją. – Od połowy lat pięćdziesiątych ośrodkiem kieruje Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża. Alianci chcieli się już pozbyć tego ciężaru. Dla nich ośrodek był czymś tymczasowym, ale szybko pojęli, że to się dopiero zaczyna. Postanowili przekazać odpowiedzialność jakiejś neutralnej organizacji. Cóż... tak pojmowano neutralność podczas zimnej wojny. Przez dwadzieścia pięć lat wszystko zupełnie nieźle działało. Mielśmy kilku dyrektorów, którzy potrafili stanąć na wysokości zadania. Dopóki w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku nie zjawił się Max Odermatt. Od razu było wiadomo, że zaczyna się nowa era. Lepiej, żebyś dowiedziała się tego na początku: wszyscy muszą natychmiast wykonywać każde jego polecenie – powiedziała, po czym dodała ironicznie ostrzejszym głosem: – Rzeczy i ludzie. Ustanowił nowe reguły, które niejednemu z nas usunęły grunt spod nóg.

Eva zaciągnęła się papierosem.

– Pierwsza jest taka – kontynuowała – że nie wolno nikomu mówić, co tu robimy. Nawet najbliższym nie wolno ci o tym pisać. Nie pytaj mnie dlaczego, tylko on to wie. Może marzył o karierze w CIA. Jeśli należysz do kobiet, które muszą wszystkim dzielić się z mężem, poszukaj innej pracy. Byłaby wielka szkoda, bo bardzo mi się spodobałaś.

Fakt, że z czystym sumieniem może ukryć naturę swojej pracy, przyniósł Irène ulgę. O ile prościej będzie powiedzieć mężowi: „Nie mogę o tym rozmawiać, dyrektor wymaga ode mnie całkowitej dyskrecji”. I chmury się rozprzeczna.

* * *

Dopiero gdy Eva, chcąc skorzystać z ostatnich promieni słońca, zakasała rękaw bluzki, Irène zauważyła numer na jej przedramieniu. Odwróciła wzrok. Nie chciała zranić tej kobiety. Ale ta spostrzegła to i odpowiedziała na niezaplanowane pytanie.

– Auschwitz. Zabrali mi wszystko, ale przeżyłam.

Irène zamarła. Jej przewodniczka chyba nie oczekiwała odpowiedzi, bo zaciągnęła się ostatni raz i zgmiotła niedopałek. Później nie poruszały już sprawy przeszłości Ewy.

* * *

Irène nie może sobie tego wybaczyć. Długo wmawiała sobie, że przyjaciółka tak woli. Kiedy zrozumiała, że to nie ją chroniła swoim milczeniem, było już za późno.

Za każdym razem, gdy o niej myśli albo za nią tęskni, jest już za późno.

TEODOR

Irène, inwentaryzując koperty umieszczone w wielkich metalowych szafach, do niektórych zagląda. Na każdej jest kod i krótki opis zawartości. Przedmioty w kopertach... Są ich prawie trzy tysiące, ukryte w ciemnościach. Dotyka się ich ostrożnie, w rękawiczkach.

Są stare, zużyte. Zaśniedziałe tarcze zegarków, których wskazówki znieruchomiały pewnego ranka 1942 roku. A może w deszczowe popołudnie następnej wiosny. Albo zimową nocą 1944 roku. Wskazują godzinę, kiedy stanęły – jakby przestało bić serce. To, czym były dla właścicieli – zarządcami czasu i życia – straciło wszelki sens.

W innych pudełkach są puste portfele. Na stronie jakiegoś notesu zapisano kilka słów w obcym języku; może w tamtym dniu brzmiały strachem przed śmiercią lub bólem. Irène może je dać do tłumaczenia, ale przecież nikt nie wyjaśni znaczenia, jakie miały dla kogoś, z kogo zdarto ubranie tuż za bramą obozu. Obrączki niezdejmowane z palców od chwili ślubu. Herbowe sygnety. Sztuczna biżuteria, dawno niemodna. Złamana oprawka od okularów.

Przedmioty bez żadnej wartości handlowej. Te, które były coś warte, już dawno zrabowano. Zostały wzgardzone przez

morderców resztki, których skromność świadczy o skromnej egzystencji ich właścicieli. Gdy wyruszali w tę długą podróż w nieznaną, brali ze sobą rzeczy cenne, ale lekkie. Dowody osobiste, kilka sentymentalnych pamiątek. Wspomnienia o życiu, które mieli nadzieję odnaleźć po powrocie z aresztu, z więzienia, tortur, z zaplombowanych wagonów.

Większość tych przedmiotów należała do więźniów obozów Neuengamme i Dachau. Tak zwanych politycznych, społecznych, homoseksualistów, robotników przymusowych. Gdy wchodzili do obozu, ich dobytek trafiał do magazynu rzeczy osobistych.

Żydzi rzadko mieli ten przywilej. Większość z nich zabijano od razu po przyjeździe. Wszystko, co posiadali, było rabowane i poddawane recyklingowi w nazistowskiej maszynie wojennej. Nawet ich włosy, złote zęby, tłuszcz z ich ciał.

Na początku lat sześćdziesiątych do Międzynarodowej Służby Poszukiwań trafiły blisko cztery tysiące takich przedmiotów. Tysiąc szybko oddano.

O przedmiocie, który czeka na odnalezienie właściciela, mówi się, że jest „w zawieszeniu”.

Irène ma wrażenie, że każda z tych rzeczy ją nawołuje. Musi wybrać spośród nich albo pozwolić, by któraś wybrała ją.

Teraz widzi lalkę w prującym się spłóćniętym ubranku. To pierrot, kiedyś z białą, teraz z szaroburą twarzą, w bluzie z kołnierzykiem i w czarnej czapeczce przyszytej do głowy. Wielkości męskiej dłoni, wydaje się nie na miejscu wśród zegarków i obrączek. Niedobitek z dzieciństwa.

Irène wkłada białe rękawiczki, które przylegają do dłoni jak druga skóra. Delikatnie wyjmując pierrota z pudełka, kładzie go na biurku w mlecznobiałym świetle lampy. Szczęśliwym trafem na kopercie jest nazwisko właściciela: Teodor Mazurek. Oto wszystko, co posiadał, gdy przywieziono go do Neuengamme.

Irène wyobraża sobie zapłakane dziecko, któremu ktoś wyrывa tego szmacianego towarzysza, przyjaciela dodającego otuchy podczas strasznej podróży, na tyle małego, że mógł się zmieścić w kieszeni. Przypomina jej się pluszowy królik, którego syn, gdy był malutki, taszczył ze sobą wszędzie. To zniszczone śmierdzące ucho, które ssal, żeby zasnąć. Już po rozstaniu z mężem, gdy ten zapominał włożyć królika do torby, Hanno nie mógł zasnąć.

Kim byłeś, Teodorze? – zastanawia się Irène. Czy żyje jeszcze ktoś, kto cię pamięta? Mogłeś zginąć na tyle sposobów, szybko albo wymyślnie. Ten, kto dał ci tego pierrota, od dawna nie żyje. Ale może jest jeszcze ktoś, komu na tobie zależało? Młodszy brat, kuzyn?

Wpisuje nazwisko do wyszukiwarki katalogu centralnego. Odkąd w 2007 roku udostępniono go badaczom, fiszki zostały w dużej części zdigitalizowane. W bazie danych jest teraz prawie pięciuset Mazurków – dwóch Białorusinów, a wszyscy pozostali to Polacy. Ale jest jeden Teodor Mazurek, urodzony siódmego czerwca 1929 roku. We wrześniu 1942 roku, gdy został wywieziony do Buchenwaldu, dopiero co ukończył trzynaście lat. Dziecko. Na formularzu przyjęcia obozowy pisarz zaznaczył powód deportacji: *złodziej*.

Irène powiększa zdjęcie szczupłej i opalonej twarzy z ostrymi rysami. Żywe spojrzenie, potargane ciemne włosy. Metr sześćdziesiąt osiem. Znak szczególny: blizna na podbródku. Podał swój adres, Izabelin, wieś w Polsce. Irène odnajduje to miejsce na wirtualnej mapie: dwadzieścia kilometrów od Warszawy. W dokumencie wpisano imię matki: *Elżbieta*. Ojca brak.

Czy tego pierrota znalazł już w obozie? Z jego fiszki wynika, że spędził tam osiemnaście miesięcy, zanim przewieziono go do Neuengamme.

Z kolejnej fiszki wynika, że w Buchenwaldzie Teodor z powodu szkarlatyny trafił na rewir, jak nazywano szpital obozowy,

a miesiąc później przeniesiono go gdzie indziej. Na karcie chorobowej, obok wymownego wykresu temperatury, lekarz napisał: *silna gorączka*. Szpital obozowy był przedśmionkiem śmierci. Chłopak wyszedł stamtąd po kilku dniach. W jakim stanie? Czy przewieziono go do innego obozu, bo był za słaby, żeby pracować?

Irène przeciera oczy, bo uparcie wraca do niej obraz: na rewirze pielęgniarz w pasiaku znajduje przy jakimś zmarłym dziecku pierrotta i daje go chłopcu z gorączką, który za chwilę zostanie wepchnięty do bydlęcego wagonu.

Ta wizja to tylko hipoteza, którą Irène musi skonfrontować z rzeczywistością. Musi poszukać dowodów.

* * *

Wychodzi na taras, zapala papierosa i patrzy na park poniżej. Na ekranie komórki miga esemes od Hanna. Jest u rodziców Tobiasa, wróci dopiero w niedzielę rano. *Musimy przygotować się do egzaminów, a razem lepiej się nam pracuje. Nie przeszkadza ci to, mamo?* Tobias jest od czasów przedszkolnych najlepszym przyjacielem jej syna. Dzielą pokój na kampusie uniwersytetu w Getyndze. Dziesięć lat temu, gdy Irène mogła w końcu zacząć otwarcie rozmawiać o swojej pracy z przyjaciółmi, Myriam Glaser, matka Tobiasa, była zdumiona. Zwierzyła się wtedy Irène, że jej babka ze strony matki, Żydówka, która wyemigrowała do Palestyny niedługo po aneksji Czechosłowacji, napisała kiedyś do Międzynarodowej Służby Poszukiwań.

– Straciła już nadzieję – dodała. – Odpowiedź przyszła po trzech latach. Wszyscy nie żyli: jej rodzice, ich bracia i siostry, ich dzieci... Dora była jedyną, która ocalała. Jej zdrowie nagle się pogorszyło i następnej wiosny zgasła. Ale zdążyła jeszcze zobaczyć, jak jej wnuczka zdmuchuje dziesięć świeczek na urodzinowym torcie.

Ta historia zdarzyła się, gdy Irène nie pracowała jeszcze w ośrodku, ale wiedziała, że petent może czekać na odpowiedź nawet parę lat, a i tak będzie ona ograniczona do krótkiego streszczenia znalezionych dokumentów. Pracownicy nie mogli nawet przekazać ich kopii. Obecnie ten zakaz już nie obowiązywał. Któregoś czerwcowego poranka Irène zaprowadziła więc Myriam do siedziby Międzynarodowej Służby Poszukiwań i pokazała jej skromne resztki urzędowych śladów po rodzinie jej matki. Łzy Myriam, gdy zobaczyła ich nazwiska na liście transportu do Terezina, jeszcze wzmocniły ich przyjaźń.

A myślałam, że zrobisz mi dobrą kolację, odpisuje synowi Irène. Ucałuj ode mnie Myriam.

To taki żart między nimi, bo umiejętności kulinarne jej syna są zerowe, nie umie nawet ugotować makaronu i za każdym razem kończy się na zamawianiu pizzy.

Odpowiedź nadchodzi od razu: *Myriam do ciebie zadzwoni. Mówi, że jestem za chudy, musi mnie podtuczyć.*

Irène się uśmiecha. Specjały Myriam – zwłaszcza hamin, potrawa, którą gotuje się godzinami na wolnym ogniu – od dawna należą już do ulubionych dań Hanna.

* * *

Irène przegląda teczkę Teodora Mazurka. Digitalizacja nie odzwierciedla co prawda emocjonalnego ładunku zawartego w archiwach zapisanych na papierze, ale pozwala zyskać na czasie i wszyscy pracownicy ośrodka mają w ten sposób dostęp do większości dokumentów. Przedtem mieli prawo do nich zaglądać tylko wybrani specjaliści.

Życie Teodora to kilka fiszek, ale są w nich niespodzianki. Irène znajduje list, który jego matka wysłała do komendanta obozu w Buchenwaldzie. Gospodarstwo Mazurków znajdowało się wtedy w Generalnej Guberni, tej części Polski, która nie

została dołączona do Rzeszy. Generalna Gubernia była kopalnią przymusowej siły roboczej, terenem, na którym nie obowiązywało żadne prawo, wysypiskiem wszystkich niepożądanych w Trzeciej Rzeszy. Niemcy rabowali te tereny i wyciskali z ich mieszkańców, ile się dało. Polska odmówiła współpracy i płaciła za to najwyższą cenę.

Elżbieta ma naiwną nadzieję, że komendant obozu okaże jej litość. Píše do niego po niemiecku, używając sformułowań tak pełnych szacunku, że aż dziwnych. I zdradzających, jak bardzo kobieta się boi dalekiej władzy człowieka w aureoli dwóch błyskawic i insygniów z trupią czaszką.

Pozwalam sobie zwrócić się do Pana z unізoną prośbą, licząc na Pana życzliwość. Jestem wdową, mam dziewięciohektarowe gospodarstwo rolne. Jak wynika z mojego zaświadczenia lekarskiego, nie jestem w stanie pracować fizycznie. A mój syn Teodor znajduje się w Pana obozie koncentracyjnym, ponieważ ośmielił się ukryć kilka jabłek z naszego zbioru, które były przeznaczone dla niemieckich żołnierzy. Syn jest jeszcze młody i nie rozumiał wagi tego czynu. Przysięgam na własne życie, że to dobry chłopiec i dał mi wiele powodów do dumy. Mam tylko jego. Bez niego nie jestem w stanie zajmować się gospodarstwem. A w obecnych czasach każdy gospodarz powinien starać się uzyskać maksimum ze swojej ziemi.

Jest raczej mało prawdopodobne, żeby sama napisała ten list. Pomógł jej z pewnością ktoś wykształcony, kto był w stanie ubrać jej prośbę w przekonujące słowa, które miały otworzyć jej synowi bramy obozu, by mógł się z niego wydostać. *A w obecnych czasach każdy gospodarz powinien starać się uzyskać maksimum ze swojej ziemi* – to argument pragmatyczny, bo przecież wyżywienie

wiecznie głodnych zwycięzców leżało w interesie Niemców.

W ostatnim zdaniu błaga komendanta, żeby oddał jej syna. Imię *Teodor* oznacza *dar boży*. To, co dał Bóg, ludzie Hitlera odebrali. Za kilka jabłek.

Jedenaście miesięcy później chłopaka przewożą do Neuengamme. W złym stanie, wpakowany do wagonu bydłowego, będzie jechał w tłoku przez wiele dni. Czy szmaciany pierrot pomógł mu w czasie tej podróży? Już ponad dwa lata jest w niewoli. Za miesiąc będzie miał piętnaście lat. Irène myśli, jak wyglądał Hanno w tym wieku. Miał rysy dorosłego chłopca, ale było widać, że to jeszcze dziecko. Z tym że dzieci deportowane, brutalnie wrzucone w świat dorosłych, są łamane fizycznie i niszczone psychicznie, zanim jeszcze w ogóle będą miały szansę набrać sił.

W 1946 roku Elżbieta zwraca się do Polskiego Czerwonego Krzyża, żeby pomógł jej odnaleźć syna. Po wojnie – po zniszczeniach i pożarach, po odwróceniu wrogiej hitlerowskiej armii, po kolejnym najeździe, tym razem radzieckiego sojusznika – Elżbieta czeka z nadzieją przez całe lata. W jej sercu syn ma wciąż trzynaście lat, blizna na jego podbródku jest nadal świeża. Gdyby stanął w drzwiach, nie poznałaby go. Byłby dla niej kimś obcym; jego obcość sparaliżowałaby ją. Kobieta musiałaby wymazać z pamięci wszystko, co o nim wie, i nauczyć się go od nowa.

Międzynarodowa Służba Poszukiwań otrzymuje indywidualną prośbę o pomoc w odnalezieniu Teodora. Przez długie tygodnie śledczy z ośrodka przeszukują archiwa z Neuengamme. Pod koniec maja kończą poszukiwania. Chłopak znajduje się na liście deportowanych, których zwłoki zidentyfikowano w Zatoce Lubeckiej i pochowano w zbiorowej mogile. Elżbieta będzie musiała pojechać daleko, żeby osobiście pożegnać syna.

* * *

Wiosna 1945. W miarę zbliżania się aliantów tysiące

deportowanych z Neuengamme zostaje załadowanych na pociąg do Hanoweru, Bergen-Belsen czy Sandbostel. Pociągi z ludzkim towarem są bez przerwy przekierowywane, bo na tory spadają bomby. Setki więźniów giną od ataków wojsk alianckich. Ci, którzy jeszcze oddychają, gdy pociąg wreszcie dociera do Lubeki, zostają zamknięci w ładowniach czterech statków SS stojących w zatoce. Z każdym dniem jest coraz więcej zmarłych. Któregoś ranka jednostki z banderami SS wciągniętymi na maszty odbijają od brzegu. Następnie Niemcy schodzą z pokładów na motorówki, zostawiając więźniów w unoszących się na wodzie trumnach. Anglicy bombardują okręty z banderą Hitlera i zatapiają je. Z siedmiu tysięcy uwięzionych pięciuset osobom udaje się wypłynąć, lecz większość ginie z wyczerpania lub zostaje zabita przez patrolujących brzeg esesmanów.

Teodor był na pokładzie *Cap Arcona*. Archiwa nie mówią, czy udało mu się uwolnić z tego pływającego więzienia, czy miał jeszcze dość sił, żeby płynąć, czy został zamordowany, czy może serce nie wytrzymało tej ostatniej przeszkody.

Los, jeden z wielu, zgnieciony przez tryby śmiercionośnej maszyny.

* * *

Irène ma jeszcze czas, żeby zadzwonić do Janiny Dąbrowskiej, młodej kobiety z warszawskiego Czerwonego Krzyża, mówiącej biegle po niemiecku. Mimo że nigdy nie spotkały się osobiście, częste rozmowy telefoniczne bardzo je do siebie zbliżyły.

Szanse, żeby matka Teodora jeszcze żyła, są niewielkie, ale Irène prosi Janinę Dąbrowską, żeby sprawdziła, czy żyje jeszcze ktoś z tej rodziny. Dyktując adres gospodarstwa, obserwuje pierrota i odczuwa nieodpartą potrzebę, żeby go dotknąć. Palcami w rękawiczkach machinalnie unosi zszarzałą bluzę. Zaczyna szybko oddychać.

Na szmacianym brzuchu lalki ktoś napisał kilka cyfr. Numer.

Irène notuje go na luźnej karteczce. Nie, nie zgadza się. Wracając do komputera, sprawdza formularz przyjęcia Teodora do obozu w Buchenwaldzie. Numer napisany na pierrocie nie należy do chłopca. Mały Polak odziedziczył po kimś tę lalkę. Zaniepokojona Irène przypomina sobie swoją wizję. Jakiś samarytanin musiał zlitować się nad Teodoresem i dać mu lalkę. Do kogo w takim razie należał pierrot?

Jeśli matka jeszcze żyje, powinna dostać tę lalkę po swoim zamordowanym dziecku, myśli Irène.

* * *

Dwa tygodnie później Janina Dąbrowska potwierdza, że Elżbieta Mazurek zmarła w latach pięćdziesiątych w przytułku prowadzonym przez zakonnicę. I że do śmierci nie odnalazła nikogo ze swoich bliskich.

* * *

Ścieżka, prowadząca do Teodora, urywa się w tym punkcie.

* * *

Teraz Irène musi odnaleźć osobę, która dała mu pierrota podczas pobytu chłopca w Buchenwaldzie.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).